

Afisz filmowy

Marii Malatyńskiej

"Horror w Wesołych Bagniskach"

DZIŚ zapowiadam film, który dopiero wchodzi na ekrany. A to dlatego zapowiadam, aby go Państwo nie przeoczyli! Jest to bowiem film polski - ale tak stylowy, piękny i przepyszny, tak finezyjnie przekomy i tak bogaty w kreacji rzeczywistości, postaci świata, przyrody i wewnątrz niemal "literackich", pełnych tajemnic, snu, jawy, poezji - że warto i trzeba to wszystko zobaczyć.

Zwłaszcza że całość ma wygląd "thrilleru", ale specyficznego, bo wystylizowanego na wyrafinowany estetycznie bibelot w kostiumach retro! O specyficznej lekkości emocjonalnej. Bo wprawdzie już w tytule otrzymujemy słowo "horror" - ale zderzone jest ono z nazwą majątku, w którym ów horror się rozgrywa, czyli z "Wesołymi Bagniskami". I to właśnie zderzenie "horroru" z "weselością" będzie dobrze zapowiadać charakter całego filmu.

Rzecz oparta jest na prozie MICHAŁA CHOROMAŃSKIEGO. Niegdyś twórca "Zazdrości i medycyny" zawsze potrafił wykreować najpiękniejsze i najdelikatniejsze retro tak, że bardziej wyglądało na "zabawę literacką", niż na "prawdziwą fabułę".

Tu też wszystko wygląda w podobny sposób. A ogląda się to bardzo dobrze, bo w tej "zabawie" uczestniczą wspaniałe postaci, a każda z nich jest wskrzeszeniem dawno zapomnianych, poetycko-romantycznych zachwyty. I "stara dziedziczka" w znakomitym, nieskończenie stylowym wykonaniu NINY ANDRYCZ, i jej trochę "dziwny" syn, czyli KRZYSZTOF KOWALEWSKI, i bardzo dekoracyjna w wyglądzie i nastroju synowa, czyli JOANNA SZCZEPKOWSKA, i przede wszystkim wspaniały i zachwycający młody mężczyzna, przyczyna wszelkich cierpień miłosnych i innych niepokojów paracrotycznych w wykonaniu (zachwycającym!) naszego, krakowskiego JANA FRYCZA. Dawno już nikt w polskim kinie nie miał aż tak dużych możliwości kreacyjnych, jak ma właśnie aktor tutaj. Więc choć taki Frycz "pasowałby" zarówno do "Witkacego", jak i do "Iwaszkiewicza" - przecież w całości "należy" tu do Choromańskiego, albo raczej do tej całej jego, niemal prywatnej, tak dalece bowiem literacko zapomnianej... zabawy.

I jest jeszcze jedna osoba, która mogłaby tu zostać uznana za swoistego "właściciela" całej tej galerii stylowych oryginałów. To... ANDRZEJ BARAŃSKI. Bo właśnie największym zaskoczeniem tego filmu jest jego reżyser. To przecież jest ten sam Barański, do którego przyzwyczailiśmy się, jako do cichego obserwatora zwykłego, choć już dawno nie istniejącego życia. Cyzelował spokojnie, uważnie i delikatnie dramaty ściszone, a między jego fascynującą "Kobietą z prowincji" a "Dwoma księżycami" znaleźć można rzeczywiście "wszystko". Nawet tak egzotyczny obraz, jak "Tabu".

"Horror..." niepodobny jest do niczego z dotychczasowej twórczości tego reżysera. Ale może jednak ze względu na specjalny klimat tej kryminalnej przecież opowieści, o której do końca i tak nie wiadomo, czy zdarzyła się naprawdę, czy też jest projekcją jakiegoś "chorego snu"? A ten... czy nie jest przypadkiem rezultatem parującego z bagniska... malarycznego powietrza? Tak bardzo bowiem "wszystko" w tym filmie zostało zrobione na granicy delikatności, która jest już niemal "złudzeniem optycznym", i na granicy "zabawy", która została wymyślona w leniwe, letnie popołudnie, gdy reżyser "zdrzemnął się" w bujanym fotelu.

Ja wiem, że życie jest teraz poważne i nie czas na literackie zabawy i drzemki w fotelach ustawionych na stylowej werandzie. Ale może właśnie dzięki temu taką fabułę trzeba potraktować jak niezwykłą przygodę? Zwłaszcza że reżyserowi "pomagali" bardzo dobrzy "pomocnicy": świetne zdjęcia zrobił DARIUSZ KUC, piękną, stylową muzykę skomponował HENRYK KUŹNIAK.

Warto to wszystko samemu posmakować.

Na zdj. Krzysztof Kowalewski i Jan Frycz

MARIA MALATYŃSKA

